

Jak przegrać jeszcze jedną wojnę na Bliskim Wschodzie?

25 lipca 2017

Prosta odpowiedź – rozpocząć ją!

Stwierdzenie, że po ponad 15 latach „globalnej wojny z terrorem” cały ten region stał się tragicznym chaosem nie powinno być żadną rewelacją.



Mimo to, mimo 15 lat klęsk, mimo rozlewającego się coraz szerzej terroryzmu i rosnącej liczby państw upadłych, Ameryka szykuje się do rozpoczęcia tam kolejnej wojny wedle stałego wzoru. Te poprzednie jeszcze zresztą się nie skończyły. To prawda, że w Waszyngtonie Barack Obama, podchodzący do spraw bliskowschodnich w bardziej precyzyjny, przemyślany i ostrożny sposób, zastąpił George'a W. Busza z jego agresywnym i prawie mesjanistycznym entuzjazmem dla swej Wojny Z Terrorem, jednak niewypowiedziana wojna o hegemonię nad Bliskim Wschodem toczyła się nadal, z niewielkimi zmianami. Owszem, dzięki tym zmianom na ulicach i bulwarach Bagdadu i Kabulu mniej jest umundurowanych i uzbrojonych po zęby 19 letnich chłopców z np. Iowa, to nie zrobiło jednak wielkiej różnicy dla ludzi na amerykańskim celowniku i przypadkowych przechodniów (tzw.

„szkód ubocznych”), migoczących na ekranach operatorów dronów.

Po 15 latach cały region znajduje się w drastycznie gorszej sytuacji, niż przed amerykańskimi interwencjami, nawet jeśli cały ten chaos jest nie w całości bezpośrednią winą Stanów Zjednoczonych. Jak właśnie odkrywa nowa administracja Trumpa, dziś jest o wiele za późno na wycofanie się pod ochronę fosy dwóch oceanów i odwrócenie oczu. Jednakże akcje, które mogłyby choć trochę poprawić sytuację – przesiedlenie uchodźców, pomoc na miejscu, pośrednictwo w zawieraniu rozejmów, wszystko co może pomóc w ograniczeniu cierpień niewinnych ofiar, nie figurują – jak się zdaje, w amerykańskim programie polityki zagranicznej.

Może byłby więc czas by po latach nierozstrzygniętych, czy wprost katastrofalnych interwencji, przestać marzyć o „uporządkowaniu” Bliskiego Wschodu, a zamiast tego pomyśleć nad tym co mogłoby dalej pogorszyć tamtejszą sytuację (zwłaszcza, że nieświadomie często to właśnie robimy). Spróbujmy wyobrazić sobie co mógłby zrobić Waszyngton, gdyby z premedytacją chciał ponieść kolejną klęskę. Jakiego kroki mógłby powziąć, by to osiągnąć? Mogę w odpowiedzi przedstawić krótką (i oczywiście niepełną) listę takich poczynąń:

1. Zacząć należy od wysłania znacznie zwiększonej liczby żołnierzy do Iraku i/lub Syrii. To stworzy wielgaśny czerwono-biało-niebieski Star and Stripes cel ataków dla wszystkich wkurzonych poprzednimi interwencjami, radykalizowanych młodych ludzi umierających (wybaczcie kalambur) z chęci zniszczenia nowej fali „krzyżowców”. Dodatkowo, może być to użyte jako wyjątkowo skuteczne religijno-narodowościowe wezwanie do walki w całym regionie.

2. Następnie należy stworzyć hałas medialny ustanawiając pustostówny szlaban dla imigrantów i w ogóle przybyszów każdego rodzaju, próbujących dostać się do USA z krajów muzułmańskich. To nie przypadkowo ISIL zaczęła nazywać prezydencki edykt „błogosławionym zakazem”, a Donalda Trumpa

„najlepszym rekrutem dla Islamu”. Akcje tego typu są przecież najlepszym potwierdzeniem głoszonej przez islamistów tezy, że muzułmanie są znienawidzeni i niekompatybilni z Zachodem, a liberalna tolerancja jest neoimperialistycznym przekrętem.

3. A wreszcie, na zakończenie, trzeba dalej podsycać powszechne w regionie przekonanie, że Waszyngton bezwarunkowo i bezkrytycznie popiera Izrael i arabskich autokratów. W tym celu należy organizować publiczne okazje z udziałem łaszących się dyktatorów wojskowych w rodzaju egipskiego prezydenta Abdel Fattaha al Sisi, wziąć udział w tańcu z szablami oraz sugerować, że rozważa się zakończenie amerykańskiego poparcia dla rozwiązania dwu-państwowego oraz zaprzestanie krytyki nielegalnych osiedli w Palestynie. Potwierdzi to inną tezę ISIL – że popieranie przez USA despotów i klęska „Arabskiej Wiosny” są dowodem, że praktykujący muzułmanie i umiarkowani Islamiści nigdy nie zdobędą władzy pokojową i demokratyczną drogą.

Sekretem „sukcesu” takiej samobójczej strategii będzie dostarczenie oczywistych dowodów, że prawdziwa jest trująca narracja ISIL, proklamująca „Bój Ostateczny” pomiędzy Islamem i Chrześcijaństwem, pomiędzy cnotliwym Wschodem i zdeprawowanym Zachodem, pomiędzy prawomocnym Kalifatem i hipokrytycznymi demokracjami. W starciu idei, polityka jak wyżej zagwarantuje wygraną ISIL i podobnych ugrupowań dżihadystycznych i będzie idealną receptą na nieodwracalną klęskę na Bliskim Wschodzie. Jeśli to właśnie jest celem Waszyngtonu, to pogratulować.

Przyjrzyjmy się szczegółowo tym trzem zwiastunom pewnej klęski. Klęska jest tu twierdzeniem spornym, przyjmijmy ją jednak za pewnik, tak długo jak koła amerykańskiej maszyny wojennej ciągle buksują w bliskowschodnim bagnie, gdy równocześnie rosną szeregi rozmaitych miejscowych „wrogów”.

WYSTARCZY WYŚLAĆ KILKA TYSIĘCY DODATKOWYCH ŻOŁNIERZY, ŻEBY ZAŁATWIĆ SPRAWĘ...

W Iraku i Syrii [1] są już tysiące amerykańskich Marines i żołnierzy, żeby nie wspomnieć o dodatkowych tysiącach w bazach w Kuwejcie, Bahrajnie, Turcji i gdzie indziej wokół amerykańskich bliskowschodnich pól walki. Jeśli jednak chce się przegrać kolejną fazę wojny z terrorem, wystarczy na ślepo godzić się na prośby generałów o więcej wojsk i samolotów, niezbędnych rzekomo do zakończenia wojny w Syrii (no i w Iraku, Afganistanie, Jemenie, itp. itd.).

OK, przyjrzyjmy się hipotetycznym skutkom takiego rozwiązania. Najpierw najgorszemu (i najbardziej prawdopodobnemu) – Amerykanie zostają wciągnięci w coraz bardziej skomplikowaną i wielostronną wojnę domową, coraz głębiej i głębiej, aż, pewnego dnia obudzą się w sytuacji przypominającej Bagdad w 2007 roku.

Żeby uniknąć oskarżenia o defetyzm, rozważny dla odmiany najlepszy scenariusz – amerykańskie wojska, fortyfikowane i umacniane bez ograniczeń, rozbijają w proch ISIL i, być może, doprowadzają do upadku reżym Assada. Hurra! Dzień Zwycięstwa, V-Day na Bliskim Wschodzie!!! Świetnie, ale co dalej? Kiedy i komu amerykańskie wojska przełożą władzę?

Kurdom? Nie do przełknięcia dla Turcji, Iranu i Iraku, krajów z znaczną mniejszością kurdyjską Saudyjczykom? Nie można na nich liczyć. Zbyt są zajęci bombardowaniem szyickich Huti w Jemenie (dostarczonymi przez USA bombami) i usiłowaniami dywersyfikacji opartej na nafcie gospodarki.

Rosji? O nie!!! Może ona bombardować „terrorystów”, podpieścić autokratycznego wasalę żeby utrzymać bazy wojskowe, czy zawierać oportunistyczne sojusze w regionie, ale brać na siebie długoterminową konsolidację jakiegoś państwa!? Nigdy w życiu, to nie styl Putina.

No to może zostawić Assada na stołku i oddać kraj na powrót pod władzę resztek jego alawickiego reżymu? To prosta droga do piekła, jego brutalność wobec opozycji wywołała tą wojnę. Co

więcej, następny bunt sunnickiej większości i/lub separatystycznych Kurdów jest prędzej czy później zagwarantowany, podobnie jak pojawienie się ekstremistów jeszcze paskudniejszych niż ISIL.

Trzeba przecież pamiętać, że falowe zwiększenie amerykańskich sił (surge) w Iraku (2007) i Afganistanie (2009) jasno dowiodło, że nie jest to sposób na rozwiązanie problemu. Jest to natomiast pewna recepta na wyrzucenie w błoto wielkich sum pieniędzy, rosnący przelew krwi i dalszą alienację „tubylców”. Rozpętywanie zaś kampanii bombardowań z samolotów i dronów, często powodujące masowe ofiary cywilne tylko potwierdza propagandę Islamistów i podkopuje wiarygodność USA.

To prawda, że naloty i bombardowanie artyleryjskie wspomagają ofensywę kurdyjskich, irackich i syryjskich sojuszników Ameryki, trzeba jednak przy tym brać pod uwagę moralne i propagandowe koszty zabijanych przez nie kobiet i dzieci. Wystarczy tu wspomnieć skutki zbombardowania bloku mieszkalnego w Mosulu [2]. Te ponad 100 cywilnych ofiar zginęło tak samo jak ofiary bombardowań przez reżym Assada, zostawiając za sobą pogrążonych w żałobie i żądnych rewanżu krewnych i przyjaciół.

Innymi słowy, tradycyjna strategia USA, skupiająca się na zniszczeniu ISIL i obaleniu Assada, nie jest prawdziwym rozwiązaniem dla regionu. Bez względu na wynik wojny w Syrii, Waszyngton będzie potrzebował planu na „co dalej”. Poleganie wyłącznie na rozwiązaniach militarnych wobec zdruzgotanego społeczeństwa prowadzi tylko do zaostrzenia kryzysu i umacnia wrogów Ameryki.

BŁOGOSŁAWIONY ZAKAZ

Proponowany przez administrację zakaz wjazdu bardzo szybko stał się w USA pełnym jadu epitetem w sporze lewicy z prawicą. Oto krótkie podsumowanie jego znaczenia dla polityki zagranicznej i „następnej” wojny. Po pierwsze, podsycanie

paranoi strachu przed dżihadystycznymi atakami terrorystycznymi przy pomocy wyolbrzymiania hipotetycznego udziału w nich imigrantów i uchodźców jest katastrofalnie wyolbrzymioną przesadą. Średnio, w latach 2005-2015, roczna liczba ofiar terroru w USA to 7 osób.

Prawdopodobieństwo śmierci w jakimś wypadku jest 18 tysięcy razy większe. Co więcej, wg. badań konserwatywnego instytutu Cato, w latach 1975 – 2015 obywatele krajów na liście Trumpa (w tym Iraku i Syrii) zabili dokładnie 0 ludzi na terenie Stanów Zjednoczonych. Nigdy też nie miał miejsca atak dokonany przez uchodźcę. A wreszcie, wezwanie Trumpa do „ekstremalnego sprawdzania” muzułmańskich uchodźców lekceważy fakt, że są oni od dawna poddawani skomplikowanemu, trwającemu 2 lata procesowi sprawdzania, który jest wyjątkowo „ekstremalny”.

Tak to wygląda. Największe znaczenie ma tu jednak wpływ ewentualnego zakazu na wojnę idei na Bliskim Wschodzie. W wielkim skrócie, jest to manna niebieska dla narracji ISIL, która głosi, że Amerykanie nienawidzą wszystkich bez wyjątku muzułmanów. Najlepszym dowodem jest fakt, że zaledwie kilka dni po ogłoszeniu tego zakazu przez administrację Trumpa, ISIL zaczęła nazywać go „błogosławionym, podobnie jak kiedyś Al-Kaida wychwalała „błogosławioną inwazję” na Irak G.W. Busza w 2003 roku. Nawet dobrze znany „jastrząb”, senator John McCain, martwił się, że edykt Trumpa „da ISIL pożywkę dla propagandy”.

Trzeba pamiętać, że choć ISIL lubi przechwalać się odpowiedzialnością za każdy atak na Zachodzie, dokonany przez zagubionych, wyalienowanych, szukających tożsamości zradyzalizowanych młodzieńców, nie oznacza to, że naprawdę je organizuje. Przytłaczająca większość tych morderców to samozradyzalizowani OBYWATELE, a nie uchodźcy, czy imigranci. Tak więc, jednym z najlepszych (i tragicznych) sposobów na przegranie wojny idei jest potwierdzenie narracji dżihadystów.

PUŁAPKA HIPOKRYZJI

Innym potwierdzeniem propagandy ISIL jest umacnianie opinii o hipokryzji amerykańskiej dyplomacji. Jednym z bardzo nielicznych haseł, zgodnie głoszonych zarówno przez Demokratów jak i Republikanów jest stwierdzenie, że Ameryka jest zawsze odwiecznym agentem DOBRA, tak naprawdę jedynym takim na świecie. Tak się jednak składa, że reszta świata ma na ten temat drastycznie odmienną opinię. Respondenci w światowych sondażach Gallupa uznali Stany Zjednoczone za największe zagrożenie dla światowego pokoju. Pogląd taki jest nie tylko niepochlebny, ma on też praktyczne znaczenie.

Jedną z przyczyn szczególnej jego popularności na Bliskim Wschodzie jest wieloletnie popieranie regionalnych tyranów przez Waszyngton. W roku finansowym 2017 wojskowy dyktator w Egipcie i król Jordanii otrzymają jeden 1,46 mld USD, drugi 1 mld USD amerykańskiej „pomocy” zagranicznej – prawie 7% budżetu pomocowego Ameryki. Przez jakiś czas po zamachu stanu, w którym obalił demokratycznie wybrany rząd Egiptu, Sisi był „persona non grata” dla Białego Domu, choć Obama przywrócił w 2015 r. 1,5 mld USD pomocy dla Egiptu. Zmieniła to niedawna wizyta dyktatora w Białym Domu Trumpa, który podczas konferencji prasowej z tej okazji zaklinał się, że „gorąco popiera Egipt”, i że Sisi „zrobił fantastyczną robotę”. Jeszcze jednym wskaźnikiem przyszłego kierunku polityki USA jest fakt, że Departament Stanu zaprzestał warunkowej, zależnej od przestrzegania praw człowieka, sprzedaży samolotów F-16 królowi Bahrajnu. To wszystko miałoby niewielkie znaczenie, gdyby nie potwierdzało twierdzenia ISIS, że demokracja to „fałszywy idol”, a jej wymagania są oszustwem, jak dowodzi ich lekceważenie przez prezydenta USA.

A wreszcie Izrael, od dawna obiekt zacieklej nienawiści w regionie, który właśnie dostał in blanco czek amerykańskiego poparcia od administracji Trumpa. Wpływ izraelskich przywódców na wewnętrzną politykę USA musi być zaskakujący dla arabskich obserwatorów. Wystarczy tu przypomnieć bezprecedensową krytykę amerykańskiego prezydenta przez izraelskiego premiera

Netanjahu, podczas połączonego posiedzenie Reprezentantów i Senatu, za którą otrzymał liczne owacje na stojąco od przedstawicieli obu partii. Mimo to nie przeszkodziło to administracji Obamy noszącej na gruncie domowym etykietkę „mało przyjazna dla Izraela”, zawrzeć z tym krajem umowę o rekordowej 38 miliardowej pomocy wojskowej.

Autorstwo: Danny Sjursen (CC BY-NC 4.0)

Tłumaczenie: Herstoryk

Zdjęcie: [The U.S. Army](#)

Źródła oryginalne: [opendemocracy.net](#), [TomDispatch.com](#)

Źródło polskie: WolneMedia.net

O AUTORZE

Major Danny Sjursen, publicysta na witrynie TomDispatch.com, jest ekspertem ds. strategii armii USA i byłym wykładowcą historii w Akademii West Point. Odbył służbę w oddziałach rozpoznania amerykańskiej armii w Iraku i Afganistanie. Jest autorem pamiętnika wojennego/krytycznej analizy wojny w Iraku pt. „Ghost Riders of Baghdad: Soldiers, Civilians, and the Myth of the Surge”.

PRZYPISY TŁUMACZA

[1] Tureckie media ujawniły lokalizację co najmniej 10 amerykańskich baz wojskowych (w tym 2 lotniczych) na terenie północnej Syrii oraz mapy rozmieszczenia i liczebności amerykańskiego personelu wojskowego, <http://www.militarytimes.com/news/your-military/2017/07/19/turkey-s-state-run-news-publishes-locations-of-previously-unknown-us-bases-in-northern-syria/>

[2] <https://www.wsws.org/en/articles/2017/03/29/mosu-m29.html>